

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## Z wystawy sienkiewiczowskiej.

Dla powiększenia funduszu Wydziału wsparć Towarzystwa Dobroczynności, powstał przed paru tygodniami projekt uproszenia Henryka Sienkiewicza, aby użyczył dzieł swoich w oryginałach i tłumaczeniach, oraz dyplomów, orderów i darów, otrzymanych w czasie jubileuszu, dla urządzenia wystawy na dochód najbiedniejszych mieszkańców Warszawy. Znany pisarz z chęcią przychylił się do tego zamiaru i skutkiem tego przez dwa tygodnie mieliśmy sposobność oglądać wiele cennych i ciekawych pamiątek i darów, świadczących o wdzięczności rodaków i uznaniu, jakim w całym świecie cieszy się Sienkiewicz.

Wystawa zajęła kilka salo-  
nów. W jednym zebrane zostały fotografie stron rodzinnych jublata z Woli Okszejskiej, jego gabinetu przy ul. Wspólnej, Oblęgórka i t. d. oraz portrety i biusta Sienkiewicza, jego żony i dzieci, roboty Pochwalskiego, Wyczółkowskiego, Welońskiego i Lewandowskiego.

Osobny stół zajęły wydania pism Sienkiewicza po polsku i w tłumaczeniach na 14 języków. Ten dział wystawy zawiera numera od 20 — 132, a następne od 133 do 207 dzieła i pisma Sienkiewicza także w kilkunastu językach.

Za witrynami w głównym salonie rozłożono dyplomy na członka różnych instytucji naukowych i towarzystw, między innymi na doktora filozofii uniw. krakowskiego, *Cesar-  
skiej* Akademii nauk w Petersburgu i akademii czeskiej —

przy ścianach ustawiono adresy jubileuszowe, przeważnie na pergaminie pisane, z pięknymi rysunkami i ozdobami. Adresów tych z różnych stron jest 48 a oprócz tego pięć grubych ksiąg z podpisami ofiarodawców Oblęgórka.

Sród wielu cennych pamiątkowych darów jubileuszowych są niektóre nader rzadkie, na przykład kula szwedzka z Częstochowy i turecka z Kamieńca, róg z kości słoniowej, starodawna szabla, ryngraf, medale z portretami królów i t. d.

Wiele przeslicznych dzieł sztuki, obrazów, rzeźb, pułarów, świeczników, albumów wypełnia ten dział wystawy, a wśród nich nie ostatnie zajmują ogromna skóra tygrysa (dar z Mandżuryi), skóra węża boa, 7 łokci długa, i różne trofea myśliwskie Sienkiewicza, poczynając od głowy łosia, zabitego na Litwie, a kończąc na główkach antylopek, rogu nosorożca i tarczy z lwiej skóry z Afryki.

Niektóre z wystawionych przedmiotów podajemy naszym czytelnikom w rycinach, a mianowicie: śliczne pióro złote, nasadzone bylantami, dar wielbicielek talentu autora „Quo Vadis” z Warszawy;

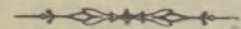


Góral tatrzański.

(Z obr. Pochwalskiego).



oznakę orderu austriackiego cesarza Franciszka-Józefa „Litteris et artibus,” udzielanego najwybitniejszym mężom na polu nauki, literatury i sztuki, — Sienkiewicz jest czterdziestym ósmym kawalerem tego orderu; dalej podobiznę medalu wybitego przez W. Trojanowskiego na pamiątkę jubileuszu, wreszcie figurę zwycięstwa, dar z Rzymu i obraz górala, pendzla Pochwalskiego, przypominający upodobanie Sienkiewicza do Tatr i ich mieszkańców.



Zofia Urbanowska.

## ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej

(Dalszy ciąg)

Warburton patrzył, pijąc całą duszą poezję tego widoku, a w oczach jego widniał zachwyt. Zapomniał o wszystkim, a widział przed sobą tylko grę barw zmieniających się ustawicznie, światła i cieni. Ktoś się za nim poruszył: obejrzał się. Był to Witold, który już fartuch odpasał i przyglądał się wraz z innymi.

— Powiadają że niema dwóch listków na drzewie, zupełnie podobnych do siebie — przemówił młodzieniec — i ja powiem, że w górach żaden dzień nie jest do drugiego podobny, a malarz i poeta, znajdując zawsze coś nowego do wyśpiewania lub namalowania. Kilka razy widziałem wschód słońca przy Morskiem Oku, i zawsze miałem niespodziane wrażenie. Gdy Witkiewicz tu był, zasłona z mgły nie rozdzierała się tak na poły, jak dzisiaj. Nad szczytami rozpięte było niebo jasne, nikle, blade; świat wyglądał jak gdyby mdał i konał. Nad wodą płynęła lekko mgła, która uchodząc za biegiem wody, skryła się po lasach, uniosła nagle po nad smereki i ciągnęła znów w górę ku Morskiemu oku, jakby ptak górą wracał z nocnego żerowiska do swego gniazda, którem jest cała kotlina jeziora. Wielkie białe skrzydła tego ptaka pływały bez szumu ważąc się nad głębią wody: nagle jakby porwane przerażeniem, uniosły się w górę po płaszczyznach ścian pionowych, zwiły znów, roztaczały i rozpraszały, uniesione prądem powietrza gdzieś po za skałami. Ogniki na szczytach rozpały się tak jak dziś, a gdy olbrzymi snop światła wytrysnął z za ciemnych skał i upadł na brzeg jeziora w stronie Rysów, wszystko dookoła ściemniało, woda jeziora zamroczyła się, jakby zatopiła się z niej noc bezksiężycowa, lasy czerniały i tylko tam u przeciwnego brzegu wysunięty skrawek ziemi świecił jak elektryczne ognisko. To było słońce: ono stopiło kryształ szronu i drgało w ciężkiej rosie zalewającej mchy i trawy i korony limb, które jak białe płomienie zapalały się, gdy ich dotknęła pożoga słonecznych blasków.

— Jest wielka siła w tem malowaniu — wtrącił Warburton — i plastyka taka, że się widzi własnymi oczyma cały obraz, inny od tego jaki mamy przed oczyma, ale równie piękny.

— W Morskiem Oku widzi on naprawdę podobieństwo do oka, zwłaszcza przy blasku słońca. Otoczone jasnymi gruzami granitów niby białkiem, z czarną w środku źrenicą, rozchodzącą się do brzegów przezroczystymi tonami seledynowemi, z tym połyskiem słonecznym, zdaje się patrzeć w niebo, z pod szarej skał powieki.

— To prawda — przyznał Warburton — zdaje mi się że pański kolega w sztuce widzi to samo co ja w charakterze tych gór: tragedję, której ślady widzimy w ich potężnej rzeźbie. Byliśmy u sarkofagu Gewontu, u ramion

krzyża na Krzyżnem i teraz oto widzimy jak Morskie Oko niestrudzoną źrenicą patrzy w niebo, i pewnie płacze licznymi strumieniami.

Witold bystro spojrział na mówiącego.

— On wszędzie widzi duszę — odrzekł — przedmioty martwe pod jego wzrokiem żyją: limba trzyma się jeziora i nie śmie iść w górę; smereki nie schną ale umierają, jedna tylko woda zdaje się być trwałą jak wieczność!...

Tu opowiedział Warburtonowi legendę o Morskiem Oku, której tenże wysłuchawszy, rzekł:

— Legenda ta ma w sobie dużo poezji i jest wysoce tragiczna, jak zresztą całe otoczenie tego jeziora i cała droga od Pięciu Stawów. Niewątpliwie działy się tu niegdyś straszne rzeczy pod działaniem ognia i wody, ale w osnowie legendy krystalizują się pięknie pewne uczucia, pewne pojęcia tego ludu. Teraz gdy ją znam, zdaje mi się że Mnich ten kamieny naprawdę ludzkie ma kształty, i że ziemia wasza patrzy na mnie wymownemi oczyma swych jezior.

— Liczba tych jezior coraz się zmniejsza. Sto lat temu jeszcze Staszyc widział za Mnichem staw Czarny, z którego dzisiaj pozostała tylko martwa kotlina, niby „oczodół po wylupionem oku,” jakby powiedział Witkiewicz. Takich oczów bez źrenicy jest więcej w Tatrach.

— O jaką to granicę Węgry spór z wami wiodą?

— O Morskie Oko.

— Zatem o to jezioro!

— Nie: ono zowie się Rybiem, dlatego że się w niem ryby poławiają. Prawdziwe Morskie Oko jest tam wyżej pod Rysami; idzie się do niego kwadrans pod górę. Jezioro tam jest zupełnie martwe. Żadne istoty żyjące, nie zaludniają jego wód.

— A dla czego? Rybie jezioro wszyscy powszechnie nazywają Morskiem Okiem?

Witold wzruszył lekko ramionami.

— Może dla honoru tych, którzy doszedłszy tutaj czują się już zmęczeni i wyżej iść nie mają ochoty, a pragną mieć satysfakcyę, że widzieli Morskie Oko. Czy Wasi Dostojność życzy sobie je zobaczyć?

— Ależ naturalnie, moi panowie. Gdybym poprzestał na Rybiem, byłbym w położeniu tych, co będąc w Rzymie nie widzą Papieża.

— A więc po śniadaniu siądziemy na tratwę i popłyniemy do drugiego brzegu.

— Dobrze. Ale gdzie to jest...

Urwał. Rozległ się huk wystrzału.

— Co to jest? — zapytał, marszcząc brwi. — Komu przyszło do głowy kłócić spokój tak pięknego poranku?

Witold dostrzegł na drugim brzegu jeziora lekki dymek, unoszący się nad wodą i coś przytem pluskającego, co potem znieruchomiało i rzekł:

— Wydrę ubito.

Z zarośli wyszedł wysoki, barczysty góral i zwierzątko wyciągnął na piasek.

— Nie wiedziałem, że wydry tu przebywają — rzekł baronet

— Tak: zachodzą one potokami aż w głąb Tatr. Po raz to drugi już ubito wydrę w Morskiem Oku. Zwierzątko to poluje tu czasem na ryby.

— Ale gdzie to jest profesor Strand — zapytał nagle Warburton, oglądając się. — Nigdzie go jakoś nie widzę. Czyżby spał jeszcze?

— Ja go już przed godziną widziałem ubranego — rzekł Witold.

— Gdzież on być może zatem? Chodźmy go szukać, bo przecież nie pojedziemy bez niego.

O kilkadziesiąt kroków od schroniska, między złomami granitu poruszało się coś, ale nie można było dojrzeć, co takiego, zwierzę czy człowiek. Chwilami to coś zatrzymywało się, lub stało nieruchome, niepewne, wahające: postępowało naprzód i cofało się — od czasu do czasu pochylając się bardzo, lub kładąc na ziemi. To coś przypominało z kształtów uschły smerek, takie to było chude



i szczupłe, tylko kapelusz zdradzał, że to człowiek. Ale i kapelusz wkrótce gdzieś zniknął, a zdala w słońcu połykiwała ogołocona z włosów czaszka ze sterczącymi po obu stronach kosmykami włosów. To doktor Strand, obojętny na piękność wschodzącego słońca, szukał między głazami swego Brachiopoda. Mało sto razy, eh, i więcej nachylał się kołując koło miejsca, w którym, jak mu się zdawało, słoik z rąk mu się wysunął podczas upadku; mało sto razy złudzony podobieństwem, cieniem padającym od słońca, wyciągał rękę i zawodził się. Rozsuwał gałęzie kosodrzewiny, krzewy i trawę, żeby poznać swoją omyłkę, z rozpaczliwą energią nanowo rozpocząć poszukiwania. Laskę gdzieś zatracił, okulary zsunęły mu się z nosa — jednak mniej o kapelusz i okulary, byle tylko Brachiopod się znalazł! Ale słońce zaczynało już złościć wązkim rąbkiem brzegi turni, a Brachiopoda nie było.

Pot spływał mu z czoła, odkryta łysina była cała czerwona, a żyły na niej nabrzmiały jak sznurki granatowe. Ręce podrapane już miał do krwi; grzbiet od ciągłego nachylania się bolał tak, że profesor nie mógł go wyprostować; kolana były bardziej zmęczone niż przy schodzeniu ze Swistówki, a może to raczej Swistówka w nich się odzywała. Gdyby choć na chwilę zwrócił uwagę na otaczający go świat, gdyby się choć raz obejrzał, zobaczyłby że oprócz niego, ktoś jeszcze między głazami się pochylał i także czegoś szukał; ale nasz uczony wzorem wszystkich uczonych, nie widział nic prócz tego co chciał widzieć, a czego napróżno upatrywał od kilku godzin. Nareszcie zdala błysnęło coś jak szkło między gałęziami kosówki. Profesor rzucił się gwałtownie ku temu świecącemu przedmiotowi, a nie mogąc go dosięgnąć, rękę pomiędzy kosodrzewinę zapuścił, i zaczepiwszy palcami nie bez trudności o słoik, wyciągnął go — ale o rozpacz, był to słoik od konserw, z angielską etykietą, rzucony tam widać przez turystów cudzoziemskich!

Biedny profesor jęknął boleśnie. W tem posłyszał za sobą ruch między gałęziami kosodrzewiny, oraz szelest sukni kobiecej i słodki dźwięczny głos zabrzmiał tuż przy nim.

— Dzień dobry, panie profesorze!

Dr. Strand struchlał: był to głos Fanny, Fanny którą wczoraj tak obraził z powodu nieszczonego Brachiopoda, a którą to winę okropnie wyrzucało mu sumienie. Wstyd odebrał mu mowę: był tak pomieszany, że zupełnie nie wiedział co odpowiedzieć, a słodki głos zabrzmiał znowu tuż przy nim z odcieniem figlarności i tryumfu.

— Czy to jest pański Brachiopod?

Profesor odwrócił się nagle, jak iskrą elektryczną tknięty. Fanny stała przed nim w niebieskiej płóciencowej sukni, rysującej wdzięcznie jej kształtną kibić, w dużym kapeluszu słonkowym, od którego padał cień na jej śliczną twarzyczkę, lekko zarumienioną. Patrzyła na niego z uśmiechem, trzymając w wyciągniętej ręce słoik jego własny z Brachiopodem, pływającym w spirytusie, którego ani kropla się nie wylała, jak to wskazywał nienaruszony pęcherz. W drugiej ręce trzymała kapelusz profesora; jego laskę i okulary. Twarzyczka Fanny wyrażała wesołość, radość i tryumf.

Profesor niemal skamieniał na ten widok: taka wspałałomyślność, taka wielkość duszy, wprawiła go w osłupienie.

— I to pani znalazłaś? *pani* szukałaś mej zguby? Byłaś tak dobrą dla mnie... czy to podobna, miss Fanny, czy to nie sen? A ja panią obraziłem tak ciężko!

— To też zapragnęłam się zemścić, i jak pan widzisz, udało mi się!

Profesor chciał powstać, ale nie mógł: wyciągnął tylko rękę po słoik, mówiąc:

— O, miss Fanny, zemsta tak szlachetna, tak wzniosła, w tak marnej, tak przewrotnej istocie, jak niewiasta... to jest... jest... chciałem powiedzieć...

— To prawda — odrzekła — ale widzisz pan, my przewrotne istoty umiemy jednak szanować uczonych, a ja się cieszę serdecznie, że mogę choć tę drobną przysługę wyświadczyć wielkiemu człowiekowi! Oto pański kapelusz — dodała, kładąc mu go na głowę, bo słońce dogrzewało — a oto laska i okulary.

Ale profesor nie brał laski ani okularów, które mu dziewczę podawało. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, a piękna jej postać, wydała mu się anielską.

— O miss Fanny! — zawołał z uniesieniem — pani jesteś najrzadszym okazem zoologicznym, o jakiego istnieniu wątpiłem... to jest, chciałem powiedzieć, rzadkim gatunkiem, a raczej odmianą, to jest, właściwie...

— Niech się pan nie trudzi wywodami, jakie miejsce należy mi dać w klasyfikacji naukowej — odrzekła ze słodyczą — bo wiem, że w oczach pańskich nie mam ani setnej części tej wartości, jaką ma Brachiopod! Nie jestem niestety zabytkiem lodowej epoki, ale pomimo to paniętam rzeczy dawne, gdy pan był bardzo dobry dla mnie, a ja byłam jeszcze małą. Pozwalał mi pan sobie towarzyszyć w wycieczkach nad jezioro w Rochdale, i rozmawiał ze mną dużo i z dobrocią wtedy, gdy nikt prawie na sierotę żadnej nie zwracał uwagi. I widzi pan, że „niema tego złego, co by na dobre nie wyszło.” Gdybyś się pan był wczoraj na mnie nie rozniewał, kto wie czy Brachiopod znalazłby się teraz!

— Więc pani nie gniewasz się na mnie, przebaczasz mi? O miss Fanny, jestem upokorzony wielkością duszy pani. Jesteś aniołem!

Profesor mówiąc to, zapomniał że jest jeszcze w kłęzącej postawie. Wtem posłyszał za sobą zbliżające się kroki kilku osób, oraz ciche szepty, i tuż nad uchem zabrzmiał mu wesoły głos Witolda.

— A, to tak panie profesorze? grasz przed nami rolę śmiertelnego wroga niewieściego rodu, a w tajemnicy przed nami czcisz na kolanach boginię Psyche: czy się to godzi!

— Zapewnie państwo już po słowie — odezwał się Jakób, tłumiąc wesołość — winszujemy panu z całego serca! Sir Warburton zapewne nie odmówi swego zezwolenia. Jak to dobrze, żeś się pan przekonał do kobiet! Życie samotne, licha warte! Niema jak dobra żona. Stare nasze przysłowie polskie powiada: „Dobra żona mężowi korona.”

— A naturalnie — odrzekł Warburton, śmiejąc się — co do mego pozwolenia, niema najmniejszej wątpliwości; jestem szczerze z tego dumny, że tak uczony człowiek wejdzie do mej rodziny!

Profesor zerwał się jak piorunem rażony. Zapomniał zupełnie, że pozostawał jeszcze ciągle na kolanach i że ta postawa właśnie potwierdzała domysły świadków tej sceny. Śmiertelna bledność twarzy mu pokryła, a w oczach odmalowała się zgroza i przestrasz.

— Miss Fanny — odezwał się z ukłonem Witold, którego najwięcej rozweselił ten widok — afekt szanownego profesora jest poważny i nie od dziś datuje: Trzeba pani wiedzieć, że profesor od dwóch tygodni nosi na sercu błękitną wstążkę, którą pani zgubiła w grotach Raptawickich, jak drogą relikwię, i krył się z tem pięknem uczuciem, jak ze zbrodnią.

— Ależ panowie, kłnę się doprawdy, że... — wyjąknął nieszczęśliwy profesor.

— Nie zapieraj się pan i nie wstydź — rzekł Witold, wskazując palcem na wyglądający profesorowi z tylnej kieszeni kawałek błękitu — afekt tak idealny, dziś, w wieku na wskroś prozaicznym, zaszczyt panu przynosi!

Fanny patrzyła ze zdziwieniem, na ów corpus delicti. Istotnie, była to jej wstążka, zgubiona w grotach Raptawickich.

— Tak, tak, kochany profesorze — dokończył Warburton — jestem szczęśliwy żeś przewyciężył swój wstręt do niewiast i że będę mógł nazwać cię swoim kuzynem.

(d. c. n.)



Do powieści „Róża bez kolców.”



Wydra.

## Gry i rozrywki w starożytności.

Ludziom starożytnym brakowało wielu wynalazków, z których my korzystamy oddawna; nie znali druku, kolei żelaznych, telegrafów, telefonów, fotografii, i mnóstwa innych rzeczy, ale w najodleglejszych czasach dzieci bawiły się zabawkami a młodzież szukała dla siebie rozrywek. Przemysłni Egipcjanie, którzy wznosili obeliski i piramidy, kraj przerzynali kanałami i zostawili po sobie wiele dzieł sztuki, dziś jeszcze podziw budzących, lubili, jak widać z pozostałych rysunków, grę w piłkę, rzucając ją i łapiąc z nadzwyczajną zręcznością, to w postawie klęczącej, to stojąc na jednej nodze, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, lub bawiąc się jednocześnie trzema piłkami. Piłki robiono ze skóry i wypełniano otrębami lub trocinami. Grywali także Egipcjanie w warcaby, używając do tego pionków ładnie ozdobionych główkami ludzkimi na wierzchu, posuwali je po deseczce w kwadraty czarno i biało malowane. Posiadali jeszcze inne gry, dla nas już dziś niezrozumiałe.

Dzieci helleńskie bawiły się obręczami, bąkami i znały grę w ślepą babkę, której dawały nazwę „natrętnej muchy.” Połowa zgromadzonych dzieci miała oczy zawiązane i goniła drugą połowę towarzyszy, wołając: „Goni cię natrętna mucha.” „Możesz gonić, ale nie złapiesz” — odpowiadali uciekający.

Znane są powszechnie słynne igrzyska Olimpijskie, powtarzające się co cztery lata. Wykonywała na nich młodzież i dorośli rozmaite ćwiczenia, a ludzie przybywali z najdalszych stron Grecji, aby brać w nich udział lub przyglądać im się.

Z dzieł historycznych wiemy, że były czternaście nagród, o które ubiegali się szybkobiegacze i atleci ze wszystkich miast Grecji, z Morei, z wysp Archipelagu i z Azji mniejszej. Nagrody stanowiła gałązka oliwna lub palmowa a niekiedy wieniec laurowy. Zwycięzca na igrzyskach olimpijskich był przedmiotem czci ogólnej, nazwisko jego, imię ojca i nazwę wsi rodzinnej wygłaszano przed zebranym ludem po całym kraju; gdy wracał do domu, przyjmowany był jak bohater po odniesionem zwycięstwie. Wjeżdżał na tryumfalnym wozie, ciągniętym przez cztery konie, a w miastach obwiedzionych murem, wyłamywano dla niego część muru, aby nie wjeżdżał drogą dla pospolitych ludzi przeznaczoną. Znakomici rzeźbiarze wykonywali jego posągi, poeci składali wiersze na jego chwałę.

Wielkie te zaszczyty wielkimi też wysiłkami zdobywane być musiały; w wyścigach pieszych ubiegający się o nagrodę zmuszony był przebiec dwadzieścia razy prze-

strzeń długą około dwóch i ćwierć mili angielskich, co niejedynemu przypłacił życiem. Spartańczyk Ladon za dwunastym biegiem padł martwy.

Przygotowawcze ćwiczenia do tych zapasów (czyli jak dziś mówią — trenowanie się) były długie i męczące trwały około dziesięciu miesięcy, podczas których nauczyciel zadawał uczniom codziennie pewien zakres ćwiczeń do wykonania, bez względu na pogodę, wydzielając każdemu skąpe porcje pokarmu i napoju. Nie wolno im było jeść ciasta, ani pić wina i zimnej wody. Do chwili skończenia igrzysk każdy musiał się zapisywać przymusowo do Towarzystwa wstrzemięźliwości.

Wracając do zabawek dziecięcych z epoki odległej starożytności, wspomnijmy jeszcze o grzechotkach, małych mieczykach, toporkach, figurkach zwierząt z gliny jak koniki, zajaczki, kaczki, żółwie i małpki. Niedawno znaleziono w Egipcie ptaka z gliny na dwóch kółkach i krokodyla otwierającego paszczę.

W muzeum londyńskim znajduje się mały okręcik z figurkami, wyobrażającymi dowódcę i załogę, z przed 2500 lat; była to zapewne zabawka dziecka bogatego młynarza.

Dziewczynki lubiły zawsze bawić się lalkami. Poza stały z owej epoki lalki robione z gałąnków, z gliny, z drzewa, z kości słoniowej. Jednym brak nóg, drugim rąk. Znajdują się także lalki z ruchomymi członkami. W Egipcie miały dziewczynki umeblowanie dla swoich lalek: łóżeczka, lustra, stoły, szafy i t. p.; znaleziono tam również niedawno śliczną zabawkę: lektkę z damą siedzącą wewnątrz i niesioną przez dwóch Murzynów.



Pióro z brylantami.



Wnosić stąd możemy, że świat ulega różnym przemianom, ale charakter dzieci nie zmienił się; i upodobania zabawki, tylko mniej doskonale wyrobione, istniały już w odległej starożytności i istnieć będą w przyszłości.

P. Gr.

# PANICZYK

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

## IX. Przed świętami.

Lata upływały, w Chrustowie życie, składające się z codziennej, powolnej, nudnej i mozolnej pracy, szło zwykłym swym trybem, przynosząc jednak wewnętrzne zadowolenie jego mieszkańcom.

Józio był już w siódmej klasie. Kolegował teraz prawdziwie ze starszym od siebie o dwa lata Leonem, który zahaczył się w piątej. Michał zaś zahaczywszy się w czwartej, znikł jakoś z gimnazjalnego horyzontu. Za to Antek przechodził z klasy do klasy, a o ile z początku pałał niechęcią do paniczyka, o tyle teraz miał dla niego życzliwość. Sam bowiem przyznawał, że jemu zawdzięcza, iż z łobuza skierował się na porządnego ucznia. Naśladował go też we wszystkim, nawet w ubraniu, w ukłonie, w sposobie odzywania się do innych, nawet czasami na ten sam sposób pochrząkiwał.

— I ze mnie taki sam paniczyk — myślał sobie, przeglądając się w niedziele w lustrze i naciągając rękawiczki tegoż samego koloru, jakie właśnie spostrzegł u Józia — Zebym jeszcze umiał tak zagrać na fortepianie — dodał. — Uczę się na skrzypcach, ale to jakoś trudniej! — myślał sobie.

Trzeba bowiem dodać, że od czasu jak Józio zaczął grywać, na utrapienie uszu pani Tamkowskiej powstało dziwne zamilowanie do muzyki. Wszyscy pensjonarze, nie wyłączając anemicznego Bola, poczęli się uczyć na jakimś instrumencie, że zaś byli to chłopcy zamożni, rodzice chętnie łożyli na lekcje. W gimnazjum też powstał nawet jakiś

chór i jakiś kwartet, młodzież majątniejsza dopomagała biedniejszą, wolny czas od nauki spędzano na muzyce, a szkoła cała stawiana była za wzór ze swej nietylko nauki, lecz koleżeństwa, moralności i obojętności na ludźmi.

Józio jako siódmostoklasista i siedemnastoletni młodzieniec różnił się też wielce od owego Józia, którego po przybyciu do Warszawy wszystko zadziwiało i który świat cały porównywał z Chrustowem.

Paniczyk wychowany w dostatnim domu, nie mógł zrozumieć tej ciągłej pracy i zabiegliwości, z jaką starano się o kawałek chleba.

I w Chrustowie wszyscy pracowali, nikt chwili nie zmarnował, lecz w domu niczego nie brakowało, a włościanie zamożni, pracownicy również, nie narzekali na swoje losy.

Tutaj od owej materyalnej i moralnej nędzy, którą zaraz po przybyciu dostrzegł nad Wisłą, widział rozmaite stopnie biedy, starań i zabiegów, drobnych trosk i oszczędności, przy której jednak wychowywano dzieci, bawiono się, nie skarżąc się na ubóstwo i brak tych drobnych wygod, któremi był otoczony od dzieciństwa.

Sam pensjonat pani Tamkowskiej, jakkolwiek bardzo porządnie utrzymywany, różnił się przecież od domu. Przedstawiał bezprzebraną pracę zacnej kobiety, kłopotającej się o drobiazgi codziennego życia, a jednak wychowaniem, inteligencją i pozorem nie różniącej się niczem od pań, które do Chrustowa przyjeżdżały.

Zetknięcie się z kolegami różnych sfer i wychowania,

od bogatych paniczyków aż do synów ubogich rzemieślników, garnących się do nanki o własnych siłach, dawało mu dowód, że nauki pragną wszyscy. Ze ona powinna być powszednim chlebem, tak dla biednych jak i bogatych, zacierając powoli różnicę, jaka z samej istoty rzeczy panuje między warstwami społeczeństwa.

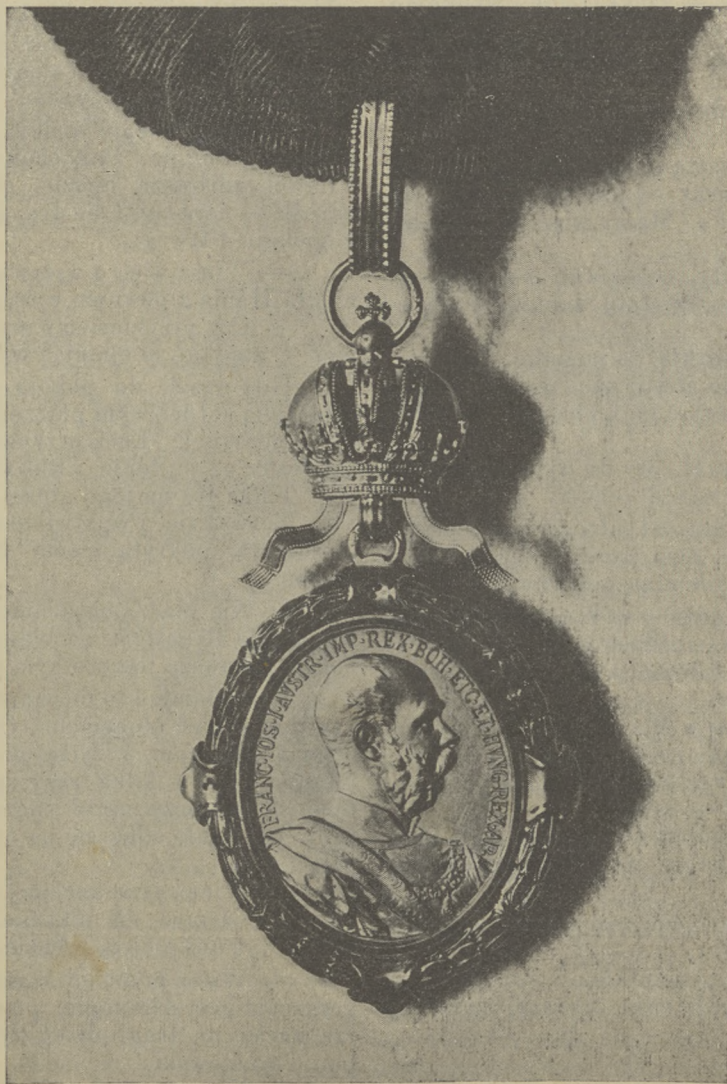
Dopomaganie w naukach Stasiowi Bolskiemu, który już teraz od lat dwóch korepetycyami zarabiał, wskazało mu jaki powinien istnieć stosunek między uczniem zamożnym, któremu rodzice niczego nie żałują, a biednym gimnazystą, któremu nie ma kto dopomóc w naukach.

To też Staś dopóki nie otrzymał kondycyi, przyjeżdżał na wakacje do Chrustowa, a gdy Staś nie potrzebował już pomocy paniczyka, znalazł się inny, i tak dalej i dalej.

Tak więc w młodzieńcu urabiały się pojęcia, wraz z nim dojrzewały, rozszerzając horyzont jego zapamiętywań i poczucia obowiązku.

Z tem wszystkim Józio miał dużo próżności „Paniczyk,” który przylgnął do niego jako przydomek; bardzo mu pochlebiał.

— Dużo przecież jest prawdziwych paniczyków



Oznaka orderu ces. Franciszka - Józefa.

„Litteris et artibus.”



w gimnazyum, a żadnego tak nie nazywają... — myślał sobie przygrywając na fortepianie lub gładząc wargę pod nosem, gdzie pod światło upatrywał przyszłej ozdoby twarzy.

Lubił też bardzo, gdy go zapraszano na wieczorki i obadwaj z Leonem rej wiedli w tańcu.

Właśnie podczas świąt Bożego Narodzenia, oprócz Leona zaprosił kilku kolegów.

— Będzie polowanie — mówił — jest moc kuropatw, zajęcy, może uda nam się zabić wilka lub lisa wziąć na trutkę. Mam wyborne jamniki.

— Przywiozę z sobą Kastora, powiadam ci, co za węż! — chwalił się inny.

— Tylko uważacie, Józio ma siostrę, żebyście się jak *gentlemen* znaleźli — objaśnił Leon.

— Zwłaszcza ty, Antek, nie sadź conceptami, bo co uchodzi między kolegami, nie uchodzi w przyzwoitym domu — dodał inny, który jakkolwiek lichy się uczył, starał się za to nadstawić i imponować kolegom wielką według siebie elegancją i znajomością form towarzyskich.

— A tak, tak — odrzekł Józio, ciesząc się w duchu, że dom jego rodziców ma takie między kolegami użycie.

— Tak, mam siostrę, prawie już dorosłą, tylko o półtora roku młodszą ode mnie, będą i kuzynki i kilka sąsiadek, więc szykujcie nogi do tańca.

— Uważasz, możebyśmy urządzili żywe obrazy, można by zrobić stosowne oświetlenie — ozwał się Leon.

— Bene! — zawołał wesoło Józio.

— Przywieziemy właściwe przyrządy, a ty Leonie zajmiesz się tem, tyś do tego majster — rzekł Antek.

— Naturalnie, naturalnie! — rzekł Leon, wybijając hołupce i naśladowując mowę i ruchy Wilskiego, który jako skończony lekarz, wyjechał już na praktykę do jakiegoś małego miasteczka.

— A temat do żywych obrazów? — zapytał któryś z kolegów.

— Coś z Sienkiewicza, zresztą obmyślimy, za dwa tygodnie święta, ja wyjeżdżam akurat od dziś za tydzień, wy przyjeździecie 28 — mówił Józio. — Mamy więc jeszcze nieco czasu.

I tak snując piękne projekty, oczekiwali wszyscy najpierw wyjazdu do domu, a potem świetnej zabawy w Chrustowie.

Lecz projekt i zamiary ludzkie to pogoda marcową. Łudzi wiosnianem słońcem, a po chwili zaciemni przestworze puchem śniegowym, zamieniając go niebawem w deszcz ulewny i ślotę.

I oto gdy Józio wyrachował, że do wyjazdu ma już tylko 48 godzin minut 35, nagle wszedł ojciec.

— A to niespodzianka — zawołał młodzieniec z prawdziwą radością. — Zaprezentuję ojcu zaraz kolegów, których za jego zezwoleniem zaprosiłem na polowanie.

— Zapewne święta przepędzimy w Warszawie — odrzekł pan Chrustowski z jakimś smutkiem w głosie.

— Co się stało? — zapytał Józio z niepokojem, spoglądając na stroskaną twarz ojca.

— Jesteśmy już od wczoraj w Warszawie, matka chora, zdecydowano natychmiastową operację...

— Co, jak? — pytał młody człowiek drżącymi ustami. — Ależ pójdziemy zaraz do mamy! — zawołał.

— Tak, pójdziemy, przyszedłem cię jednak uprzedzić, ażebyś nie roztkliwiał się przy matce, miał dobrą minę, jak najmniej mówił o jej chorobie...

— Więc to coś bardzo niebezpiecznego! — przerwał młodzieniec.

— Bardzo — rzekł ojciec ze smutkiem — od spokoju matki i jej zupełnej ufności w możliwość operacji życie jej zależy.

Józio załamał dłonie.

— Chodźmy, ojcie kochany! nie obawiaj się, będę panował nad sobą, owszem, będę opowiadał o rozmaitych cudownych wypadkach wyzdrowienia! — dodał, zaciskając zęby i tłumiąc w sobie ból, który mu piersi rozrywał.

— I Hania jest i panna Marta — mówił ojciec, schodząc ze schodów.

— Wiedzą?

— Wiedzą, i grają komedię spokoju.

— Co to jest, na Boga!

Ojciec wymienił nazwę choroby, dodając:

— Operacje takie podobno bardzo szczęśliwie się udają, lecz doktorzy nie tają niebezpieczeństwa, żądali nawet zupełnego mego zezwolenia. Nie jesteś już dzieckiem, dlatego i tobie o tem mówię.

Z piersi Józia wyrwało się głębokie, przejmujące westchnienie.

— Gdzie my jedziemy? — zapytał nagle, widząc, że dorożka skręca w jakąś ulicę, na której rodzice nigdy dotąd nie stawali.

— Do Domu Zdrowia doktora X., gdzie matka noc już dzisiejszą przepędza — rzekł ojciec.

Młody człowiek spojrział na ojca oczami pełnymi trwogi i westchnął.

— Po wielu staraniach udało mi się wyjednać też obok matki pokój dla Hani i panny Marty, będą ją doglądały — mówił dalej ojciec.

— Jaka ta panna Marta pocziwa! — zawołał młodzieniec z uznaniem.

— Prawda, mój synu, to prawdziwa przyjaciółka, szanujemy ją też i kochamy jak siostrę.

— A czy dla nas ojciec nie można mieć pokoju?

— Nie, mój synu, wszystkie pokoje przez chorych zajęte.

Młodzieniec westchnął, poddał się jednak losowi.

Na korytarzu spotkała go Hania.

— Widzisz, co za zmartwienie, co za nieszczęście — rzekła, witając się z bratem.

— Zmartwienie wielkie, ale przecież jeszcze nie nieszczęście, Bóg da, że kochana matuchna nam wyzdrowieje, a nawet zdrowszą będzie, gdy się pozbędzie dolegającej narośli — uspokajał siostrę, choć w głębi duszy miał pełno niepokoju i trwogi.

— Wiesz więc o wszystkim i mówisz tak spokojnie — rzekła Hania z pewnym wyrzutem.

— Czy przyniesiemy mamie ulgę, płacząc i desperując? — zapytał, obejmując w pół siostrę.

Gdy weszli do pokoju chorej, o mało nie wybuchnął szczerym, serdecznym płaczem, na widok matki tak okropnie zmienionej. Lecz przypadł tylko do jej kolan i ukrywszy twarz na jej łonie, witał serdecznie, nie mówiąc i słowa.

Kilka łez na jego głowę spadło.

Zerwał się i wpatrując się w tę twarz żółtą, nagle zestarzałą, pokrytą siecią zmarszczek, mówił serdecznym głosem:

— Nie płacz, matuchno kochana, prawda, straszna to rzecz, ale słyszałem od jednego z moich kolegów, że jego matka zdrowszą jeszcze była po takiej operacji.

I popoelniając to niewinne kłamstwo, obejmował matkę i tulił w swoich objęciach. Opowiadał też rozmaite dyktoryjki i zdarzenia z życia gimnazjalnego, tak, że Hania i panna Marta kilka razy spojrzały nań z pewnym wyrzutem. Tylko oczy matki spoczywały na nim smutne, bolejące, a jednak siłąc się na uśmiech, jakby chciały powieścić:

— Wiem, synu kochany, że grasz przede mną komedię.

— Czemuż mi nikt nie doniósł o chorobie matki? — zrobił wymówkę ojcu, gdy się znaleźli na korytarzu.

— Wiesz przecie, że matka ciągle niedomagała, pogorszenie przyszło nagle, po orzeczeniu miejscowego lekarza, zaraz na drugi dzień wyjechaliśmy z domu — odrzekł pan Chrustowski.

— Nie zauważyli tej strasznej zmiany, którą ja odrazu spostrzegłem! — pomyślał sobie.

Gdy się rozstał z ojcem, jeszcze większy ból szarpnął jego sercem; koledzy na stancyi i pani Tamkowska z całą



serdecznością dzielali jego zmartwienie, starali się uspokoić, troski to jego przecież nie zmniejszyły.

Na drugi dzień zamiast do klasy, poszedł do domu Zdrowia, a chociaż nie widział się z matką, snuł się po korytarzach, wyczekując, rychło chwila operacji nadejdzie.

(d. c. n.)

## Z dziennika Janka Ż.

(Dalszy ciąg).

— Ferma du Toit zawiera drogocenne pokłady! — gruchnęła wieść pomiędzy kopaczami.

— Hejże na fermę du Toit! Kupujmy fermę du Toit! — pomyśleli przedsiębiorczy awanturnicy i pędzą co sił, aby ubiedz innych.

Pan du Toit, jak na prawego Bura przystało, palił fajkę przed domem, kiedy ujrzał gromadę ludzi biegnącą wprost na jego podwórze. Był sam, nieprzygotowany na napad. Wziął nogi za pas i uciekł. Na łące dosiadł oklep konia, ale jakże się zdziwił, gdy mniemani zbójcy zamiast rabować dom pogonili za jego właścicielem. Gonitwa trwała 6 dni, bo du Toit znał okolicę i ukrywał się szczęśliwie przed napastnikami. Zdybano go jednak nakoniec w zagrodzie znajomego fermera. Siedział wśród trzody baranów, nie rozumiejących o co chodzi ludziom, którzy cisnęli się sami jak nierozumna trzoda. Dobito targu; du Toit sprzedał swoją fermę za 125,000 fran. to jest otrzymał dwadzieścia razy wartość ziemi, dlatego, że w tej ziemi były dyamenty. Zgarnął pieniądze, ale nie wrócił już w rodzinne strony. Nie dowierzał nowym swym sąsiadom i nikt dziwić mu się nie będzie, kto zna awanturniczych poszukiwaczy bogactw. Zamieszkał w Kapetownie, gdzie żył jeszcze przed kilku laty.

Na miejscu fermy pana du Toit powstało miasto Kimberley ze sławnymi kopalniami, które dziś należą do Anglii, a w których pracuje tysiące Kafrów. Nie rozumieją oni, dlaczego Europejczycy płacą tak drogo za świecące kamyczki.

Powiem wam prawdę, koledzy, że ja sam nie pojmuje, czemu właściwie kawałek czystego skryształizowanego węgla, bo przecież brylant nie jest niczem innem jak skryształizowanym węglem (widzicie nie zapomniałem jeszcze tego, co uczono nas w szkole) tak się ceni, czemu więc ludzie zabijają się dla brylantów i płacą za nie stosami złota, lub strumieniami krwi.

Brylant jest pięknym kamieniem, to prawda, ale gdyby panie, które noszą dyamenty, pomyślały, ile ich zdobycie kosztuje ofiar, gdyby wiedziały kobiety burskie, walczące obok swych mężów i umierające jak Wilhelmina Burns!... Nie powinieniem może pisać takich rzeczy, jestem za młody, aby sądzić ludzi i pobudki ich czynów. Prawda, ale te uwagi przysły mi na myśl, słysząc z jaką wżgardą Achabati mówi o chciwości białych. Tej chciwości nauczyliśmy już i Kafrów. Negrowie używani w kopalniach kradną z wielką zręcznością brylanty, ci zwłaszcza, którzy sortują je i wybierają z mułu. Są też poddani ciągłemu nadzorowi, pracują nadzy ale w rękawiczkach. Dziwi was ta elegancja dość oryginalna w obec reszty kostiumu? Wiedzieć więc, że rękawiczki zamknięte na kłódki nie przeszkadzają w robocie. Zgiąć jednak palców Negr sortujący nie może. Dla złodzieja wielce to nie przyjemne utrudnienie.

Czy sądzicie, koledzy, że na tem się kończą ostrożności zachowywane względem Kafrów, sortujących dyamenty? Wcale nie. Pozostaje jeszcze środek ostatni, ale nieodzowny. Negrowie nawet najściślej dozorowani polykają często brylanty. Europejczycy odzyskują jednak stracone kamienie. Nie wypada mi tłumaczyć wam szczegółów

tej operacji. Byłoby to *schoking* i zagniewałbym na siebie Redakcję „Wieczorów Rodzinnych.” Powiem więc tylko, że w Afryce znają przysmak, zwany olejem rycynowym, i każdy Negr, pracujący w sortowni, dostaje co dzień porcję tego specyału, więc przyznajcie, czy Achabati nie ma prawa narzekać na chciwość Europejczyków?

O dobywaniu złota w Transwaalu mógłbym wam także opowiedzieć wiele szczegółów. Mieszkalem, jak wiecie w Johannesburgu, a miasto Johannesburg, to stolica kopalń. Tam, gdzie dziś wśród czteropiętrowych kamienic biegną elektryczne tramwaje, tam przed piętnastu laty pasły się trzody na ubogich pastwiskach. Pastwiska te tworzyły szereg pagórków zwanych Witwaterstrand czyli pagórek białych wód. Grunt mało urodzajny nie miał nabywców. Przed 1886 r. można było kupić od rządu Transwaalskiego cały Witwaterstrand za 50,000 franków. Dziś wartość kopalń złota, wraz z wartością zbudowanego w pośrodku nich Johannesburga, nie dałaby się obliczyć na miliony.

Odkrycie złota przypisują właścicielowi fermy Strubenowi. Parobek Strubena, kopiąc rów znalazł kawałek rudy złotej. Było to w kwietniu 1886 r., a już we wrześniu, tegoż samego roku, pagórki Randu tworzyły szereg kopalń. W tym samym czasie zbudowano także Johannesburg. Może sądzić będziecie, koledzy, że nazwano tak stolicę ze względu na waszego sługę i przyjaciela. Niestety nie. Mieszkalem w Johannesburgu i noszę imię Jan, ale na tem się kończą moje przywileje. Toż zostałem nawet haniebnie wyrzucony przez panią Katy Burns z mieszkania, a nikt nie ujął się za biednym Johannem z Johannesburga.

Ja też nie jestem Johann tylko Jan i to nie Chrzciiciel, nie Złotousty, nie Ewangelista. Moim patronem jest rodak, święty Jan Kanty, nauczyciel i opiekun młodzieży polskiej.

Dalszy ciąg dziennika.

Przerwałem moje opowiadanie, dla wytłumaczenia wam, jakim sposobem odkryto brylanty i złoto w Transwaalu. Ale czas wrócić do fermy pana Van Riemena, bo płyniemy szybko, fala, dobra fala, niesie łódź w stronę oceanu. Spieszę więc opisać wam, w jaki sposób dostałem się na wody Oranii. Postanowiono to w brew własnym moim projektom. Posłuchajcie:

Nie chciałem nadużywać gościnności pana Van Riemena. Byłem już zupełnie zdrow, rana zdawała się zagojoną. W miarę, jak wracały siły, wracała i tęsknota do ojca. Więc choć z żalem myślałem o porzuceniu de Wetta, postanowiłem opuścić fermę. Sądziłem, że Achabati pomoże mi dostać się do Lourenco Marquez przez kraj Swazów. Z Lourenco Marquez wypływa wiele statków do Europy, z pewnością więc znalazłbym taki, który zatrzyma się przy wyspie S-tej Heleny. Pienędzy miałem mało. Nie dziwcie się temu, koledzy. Przypominam wam, że kupowałem broń i konie dla nas obu z Robertem. Niestety, Robert zginął a ja zostałem sam!

Należało przedsięwziąć jakiś stanowczy krok. Ach, gdybyście wiedzieli, jak to trudno obmyślić coś samemu bez rady starszych. Mówiłem z Dermontem, że chcę wracać do ojca, ale on poklepał mnie tylko po ramieniu, zanucił swoje „Ca ira, on rira” i zarzuciwszy strzelbę przez plecy poszedł polować na bażanty.

Byłem zły, że tak lekko traktuje tę sprawę, kiedy ja wierzyłem w jego życzliwość. Toż ocalał mi życie i pielęgnował w chorobie, a przecież lubimy tych, którym wyświadczyliśmy dobrodziejstwo. Nie zawiodłem się jednak na Dermontcie, ja to sądziłem go niesprawiedliwie. Wieczorem tego dnia rozmawiał długo z de Wettem, który ufa mi, jak wprzód ufał Burnsonowi. Wskazywali na mnie, byłem więc przedmiotem ich narady. O czem mówili, miałem się dowiedzieć dopiero nazajutrz.

O, nie zapomnę nigdy tego wieczora. Siedziałem na progu domu i podziwiałem zręczność ośmioletniego Jakóbka. Był to sierota po rodzicach zabitych w ostatniej po-



tyczce generała Bothy. Dziecko przywiózł z litości na fermę handlarz, który kupował od Achabatiego skóry upolowanych przez Zula lampartów. Pan Van Riemen wziął Jakóbka, bo malec był silny i odważny. Patrzałem właśnie, jak rzemieniem umocowanym na długim bambusie chwycił z ziemi na znaczną odległość kamyczki i miedziane pieniądze. Mierzył tak celnie, że koniec bata owijał się około monety. Zwykła to zabawa dzieci Burskich.

— Nie znają naszych bezmyślnych cacek — powiedział Dermont, stając za moimi plecami. — Generał cię wzywa — dodał po chwili, ciągnąc mnie za włosy, co było zwykłym u niego karesem i oznaką dobrego humoru.

(d. c. n.)



Statua Zwycięstwa — dar z Rzymu.

## SZARADA.

uł. Maryla.

*Pierwsze*, mieszkaniec dawnych wielkich lasów  
Przez myśliwego wciąż niepokojony,  
Więc też niestety już do naszych czasów  
Prawie doszczętnie wszędzie wytępiony.  
*Wstecz* to przeczytaj, a otrzymasz znane  
Imię kobiety w Biblii nam podane.  
Przyłącz do tego jeszcze samo *trzecie*  
A masz roślinkę nie powabną w kwiecie,  
Tylko dla zasług swej trwałej zieleni  
Co jej i ostra zima nie odmieni,  
Chociaż bez barwy maku lub bławatka  
Zyskało nazwę dziewiczego kwiatka.  
Ptakiem znów będzie samo *drugie trzecie*  
Widzianym u nas tak zimą jak w lecie,  
I ptakiem również *wszystko* wraz też będzie,  
Lecz tego spotkać już nie łatwo wszędzie,  
Bo chętnie trzyma się leśnej ustroni,  
Chyżość go tylko przed napaścią broni.  
A jest obrazem dobroci, miłości,  
Tak serce jego nie zna żadnej złości.

## ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

uł. Zbyszko dla Szarotki.

..... Zastąpić kropki literami, aby pierwszy rząd oraz pierwsze litery złożyły tytuł poematu Juliusza Słowackiego. Znaczenie wyrazów: rząd 2-gi) Sławny zdobywca w starożytności. 2) Dzień w tygodniu. 4) Mikroskopijne żyjątka. 5) Stan w północnej Ameryce. 6) Miasto nad Nogatem. 7) Miasto w Holandyi. 8) Rzeka w Niemczech. 9) Miara długości. 10) Przyimek. 11) Samogłoska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

Szarady: O — ce — an.

### Zadania konikowego:

Z niebieskich najrańszą piosnek  
Ledwie zadzwonił skowronek,  
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,  
Błysnął ze złotych obsłonek.  
Zawczasie kwiatku, zawczasie,  
Jeszcze północ mrozem dmucha,  
Z gór białe nie zeszły pleśnie.

A. M.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Z wystawy sienkiewiczowskiej (z rycinami). — Róża bez koleców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską. — Gry i rozrywki w starożytności. — Paniczek, przez Z. Morawską. — Z dziennika Janka Ż. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Panna Obrażnica, wiersz (z ryc.) — Niedziela Antosi, przez Bronisławę Wł. — O białej owieczce, wiersz. — Dzieci w podróży. — Łamigłównka i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 23 Апрелья 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.





Panna Obrażnicka.

Wicie. co to za dziewczynka,  
Czemu tak się nastroszyła,  
Skąd ta nasepiona minka,  
Choć twarzyczka dosyć miła?  
Ach! to często jej się zdarza,  
Ze na drugich się obraża.

Żart, uwaga, czy też rada,  
Choćby z serca najlepszego,  
Do gustu jej nie przypada,  
Obraża się na każdego.  
Miał być wdzięczną lub wesołą,  
W bok odchodzi, marszcząc czoło.

To też zwykle jest tak zwaną,  
Jak w tytule napisano.

## NIEDZIELA ANTOSI.

— Matusiu, moja matusiu! Co też ta Anna mówiła, że każdy ma swoją niedzielę, przecież jak niedziela — to dla wszystkich?

— Ej, niemądra jesteś Antośka, niemądra! a skądżeby Anna o takiej zwyczajnej niedzieli mówiła.

— A o jakiej, matusiu, o jakiej? powiedzcie kochana.

— To widzisz dziecko tak: człowiek całe życie bieduje, całe życie jeno mu źle i ciężko; aleć przecie każdy, choć najnędzniejszy, ma taki dzień, że mu dobrze, o biedzie zapomni, o harowaniu, o wszystkim; jeno mu się świat śmieje i niebo mu insze i słońko jaśniejsze, a ludzie, to mu tacy dobrzy a kochani, że ze wszystkim się dzielić i najgorszemu wrogowi gotów krzywdy zapomnieć. — Wtedy powiada, to moja niedziela!

— Matusiu, a czy ja będę kiedy choć raz miała taką swoją niedzielę?

— Co ty dziecko, co ty? Myśl, żebyś z głodu nie zamarła, nie o niedzieli, ho! ho! gdzie tobie do niej!

Wyszła Janowa, bo mydliny trzeba było prędko wyłać i z praniem pospieszać, aby przed świętem bieliznę odnieść i choć kilkanaście kop. na chleb dla Antosi przynieść.

Bił deszcz o szyby ciemnej sutereny. Wiatr wiskał się przez szpary, ziębił, choć w małej izbie duszno było i parno od gotującej się w kotle bielizny.

Antosia wtulona w kąt za kominem, oparła głowę na ręce, zamknęła oczy i myślała:

— Jak to ta moja niedziela wyglądać będzie?

Pewnie mieć będzie wtedy całe bućki i sukienkę porządną i dostanie na śniadanie mleka, takiego białego, ciepłego. Piła ona kiedyś tę dobroć nad dobrociami, ale to już dawno, bardzo dawno, jeszcze tatulo żył i miał duże zarubki. Taka ona wtedy była jeszcze malutka, że ją na ręce brał i huśtał i mówił do matusi:

— Galanta dziewczucha z niej będzie; patrzaj jeno Marychna, jakie ma różowe buziaki.

A ona śmiała się i ciągnęła go za wąsy. To pewno wtedy miała swoją niedzielę, choć niewiele pamięta, jak to wyglądało, ale było dobrze, oj dobrze: ciepło, jasno w izbie, sukienka porządna, trzewiki też i to mleko, to mleko!

Antosię taki ogarnął na nie apetyt i tak naraz w dołku głód ścisnął, że się aż rozplakała; bo gdzie to takiej biedocie o niedzieli myśleć.

— To co ja tam matusiu będę robiła, co? Dziecko bawiła czy izbę zamiatała? Moja matusiu kochana, niech mi matusia powie, co to te kolonie będą, bo ja się strasznie boję?

— Ot! niemądra, a czego się strachać? Na wieś pojedziesz: będziesz se tam z dziećmi bawiła; w rzece kąpała, mleko piła.

— Mleko, matusiu, mleko prawdziwe, takie białe?

— Czerwone chciałaś, albo czarne?

— I tam ino same dzieci będą?

— Eh, pomiarkowania Antośka nie masz, a gdzieżby sobie dzieciska same rady dały? Pani pojedzie z niemi.



— Czy ona bić będzie?

— Skądżeby, na koloniach nie biją, ale pewno nie-raz, jak które dziecko niegrzeczne, to je po ojcowsku i przetrzepią.

— Oj, to ja grzeczna będę.

— Pamiętaj: pani słuchaj, dzieci nie szturchaj, to na drugie lato też pojedziesz.

W sali robiło się coraz ciszej, jeszcze tu i owdzie rozlegał się śmiech, tam znowu szept, gdzieindziej nawet głośna rozmowa, wtedy na progu stała pani i wołała:

— Cicho dzieciarnia, ani słowa, spać!

Antosia przytuliła głowę do poduszki, zmrużyła oczy i chciała zasnąć, ale nie mogła, tyle bo dziwnych myśli kręciło się po jej biednej głowie, tyle rzeczy nowych dziś widziała i słyszała.

Najprzód tam w Warszawie na dworcu kolejowym dużo, dużo dzieci, rozmawiają, hałasują, aż tu wchodzi pani i z kajetu woła jedną po drugiej, ustawiają się parami i ona Antosia też. Potem pani pyta się każdej: masz worek, masz grzebień, masz płaszczyk? A jakże, mama trzyma wszystko i dopiero przy wsiadaniu do wagonu jej oddaje.

Rusza pociąg, jadą, jadą. Przytuliła głowę do okna i patrzy: migają wsie, łąki, pola, lasy, śliczne, jasne, aż oczy stracić można. Wozem jechać jeszcze lepiej, choć trochę trzęsie, ale wszystko dobrze widać i nawet kukułkę w lesie słyszała, jak to było ładnie: „ku, ku, ku, ku!”

Albo te żółte kwiaty, całe pola i taki śliczny zapach; chyba, że i w raju piękniejszych być nie może. Pani powiedziała, że się to łubin nazywa.

W drodze to dzieci śpiewały, ona nie, bo jeszcze nie umie, ale się nauczy. Pani zaczyna: — Wisło nasza, Wisło szara! — a za nią wszystkie razem, głośno, równo. Albo o tym skowroneczku, to jeszcze ładniejsze.

Antosia i jeść z wielkiej radości nie mogła, choć jej pani mięso i chleb dawała. A tu, jak przyjechały, to mleko było: prawdziwe, białe, słodkie, ciepłe, dużo, dużo, taki półkwartowy, niebieski kubek i chleb świeży, cały kawał.

Przed domem, to trawa rośnie, taka zielona, jak w Saskim Ogrodzie i nawet chodzić po niej wolno, ale niedługo tego było, bo pani gwizdnęła na takiej małej świstawce i wszystkie dzieci zbiegły się zaraz do sali na pacierz. Duża Jadzia, co dyżurną jest, mówiła głośno modlitwy a inne cicho powtarzały. Na końcu pani zaczęła:

Wszystkie nasze codzienne sprawy — i zaraz za nią wszystkie, nawet ona, Antosia. Oj, to było całkiem jak w kościele i nawet się czerwona lampka przed Matką Boską paliła.

Potem taki gwar, taki gwar. Każda niby to się przy swoim łóżku rozbiera, ale ciągle po całej sali biegają: to trzewiki do sieni wynoszą, to pani dobranoc mówią, to nawet te małe proszą, żeby im fartuszek rozwiązała.

Teraz już cicho, zupełnie cicho. Tak dobrze, tak wygodnie: tyle słomy w sienniku, kołdra taka miękka, poduszka biała, a wszystko takie czyste, takie świeże. Antosia otwiera oczy, bo to pewnie tylko sen i ona siedzi w ciemnej suterenie, ale nie, rzeczywiście jest na Koloniach Letnich i będzie jeszcze całe, całusiennie cztery

tygodnie. Ogarnia ją radość wielka, ogromna, nie mieści się w sercu dziecka i wypływa gorącymi łzami.

Ktoś się nad nią pochyla, kładzie rękę na głowie i pyta cichym, dobrym głosem:

— Czego płaczesz, dziecino?

To pani. Antosia chwytła jej rękę, do ust przyciska, ale mówić nie może. Pani siada na łóżku, bierze dziewczynkę na kolana, tuli, całuje w czoło i szepcze:

— No, cicho, cicho mała, nie płacz. Dobrze ci tu będzie, wesoło, zobaczysz. Nie trzeba się martwić, bo główka zaboli.

Ona już nie może, to za dużo radości, za dużo szczęścia. Obejmuje panią za szyję i szepcze:

— Mnie tak bardzo, bardzo dobrze.

To była „niedziela” Antosi.

Bronisława W.

## O białej owieczce.

Słuchajcie dzieci! Znowu bajeczka:

W polu się pasła biała owieczka,

A owca stara, jej mama miła,

Swem mlekiem często w dzień ją poila.

\* \* \*

Lizała czasem jej główkę białą,

Bo to pieszczotę jej oznaczało;

Spać przy jej boku wolno córeczce —

Więc dobrze było małej owieczce.

\* \* \*

Raz, tak biegając przy matce w koło

Mała owieczka patrzy wesoło,

I myśli sobie: co też być może,

Za naszą rzeczką, w tym wielkim borze?

\* \* \*

I zamiast mamy spytać, co powie,

Myśli malutka, że się już dowie,

Więc po kamykach — hyc! hyc! nie pyta,

Spojrzy za siebie — i lęk ją chwytła.

\* \* \*

Już nie spostrzega matki, ni stada,

Więc staje w miejscu trochę nierada...

Nie wie co robić! A tam, z daleka,

Śliczny, zielony las na nią czeka!

\* \* \*

I biegnie dalej. Trawa tak duża,

Że się w niej cała owieczka nurza,

Kwiaty wśród trawy pachną kwitnące;

O jakże pięknie na owej łące!

\* \* \*

Lecz nóżki bołą. Owca strudzona,

Choć trawka pachnie — lecz myśli ona,

— Jakbym się mleczka napiła rada!

Ale daleko już jej do stada. —

\* \* \*

— Nic to — pomyśli — spoczną troszeczkę —

I sen ogarnął małą owieczkę.

Zasnęła sobie pod drzewem smacznie,

A tu już w lesie ściemniać się zaczyna.

\* \* \*



Głód jej dokuczył. Więc się obudzi,  
Patrzy — z kosami idzie dwóch ludzi.  
Nie wiele myśląc biegnie ich śladem,  
Jak zwykle biegła za swoim stadem.

\* \* \*

(d. n.)

## DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

Janek po chwili odzywa się:

— Możebyśmy się przeszli po sali? Kto podróżuje, nie powinien siedzieć na miejscu.

I rusza na czele, niosąc w ręku kufereczek podróżny, śliczny kufereczek obity skórą cielęcą żółtą w białe łatki, podarunek od cioci-babci, otrzymany na gwiazdkę. Przed Jankiem idzie wielkimi krokami gruby, otyły Niemiec, z czerwoną twarzą i ryżemi faworytami, okryty pomimo gorąca pledem, złożonym w kilkoro i zawieszonym na karku. Niemiec przechadza się wzdłuż sali, potrąca spotykanych po drodze, i doszedłszy do końca zawraca a za nim, krok w krok posuwa się czwórka dzieci, i zawraca, naśladując mimowolnie jego ruchy. Wygląda to tak zabawnie, że wszyscy zaczynają się śmiać i pokazywać sobie ten orszak, co w końcu zwraca uwagę Niemca, który staje nagle, obraca się na miejscu i spoglądając groźnie na Janka, pyta ochrypłym głosem:

— *Was wünschen sie?*

Janek wystraszony zmyka co żywo na dawne miejsce na ławce, a za nim całe towarzystwo. Dzieci, czekając na powrót rodziców, dla skrócenia czasu, zaczynają przeglądać swoje ręczne kuferki, w których są kołnierzyki, szczotki, grzebienie i t. p. drobiazgi. Wielka to przyjemność oglądać to wszystko, ale pora niedobrze wybrana. W tej chwili rozlega się dzwonek i portyer stając przy drzwiach woła:

— Skierniewice, Piotrków, Częstochowa, Granica, Sosnowiec!

Rodzice nadbiegają z numerowymi, którzy chwytają złożone na ławie pakunki i pędzą do dzieci wołając, żeby się pilnowały i odźwierny otwiera drzwi i wszyscy wylatują jak z procy na peron i biegną do wagonów. Biednemu Jankowi dostaje się szturchaniec.

— O! uderzył mnie w plecy ten pan! — żali się Janek przed mamą.

— Moje dziecko — odpowiada mama — kto chce podróżować musi znosić różne przykrości i nie żalić się.

Nakoniec stają przy wagonie i rozpoczyna się ładowanie: numerowi z pakunkami, jedna mama, druga mama, Janka, Tadzio... A gdzież Janek i Helenka? Przystanęli na chwilę przed chłopcem sprzedającym gazety i przyglądają się ilustracyom. Rodzice wołają niecierpliwie; Janek i Helenka w obawie żeby pociąg nie odjechał bez nich, podążają co siłą. Janek w pośpiechu nie zamknął dobrze kuferka: trzyma go za jedno tylko ucho, uderza nim o stopień wagonu i... bieda! kuferka otwiera się, a część tego, co w nim było, rozsypuje się na peron.

Kołnierzyki, gąbki, rękawiczki, chusteczki, haczyk do zapinania bucików...

— Ojoj! co ja zrobię! — woła Janek zrozpaczony.

Numerowi dopomagają mu zbierać rozsypane rzeczy, ale w pośpiechu gniotą piękne marynarskie kołnierze, które Marcinowa, dawna piastunka Janka, poprasowała tak starannie, żeby jej „paniczyk” ładnie wyglądał zagranicą!

„Paniczyk” jest w rozpacz. Śliczna gąbka, okrągła jak jego główka, stoczyła się pod koła wagonu. Janek chciał zejść teraz po nią, ale mu nie pozwalają. Nietylko pobrudziłby ubranie, lecz wagon, gdyby nagle ruszył, mógłby mu obciąć głowę.

— I oprócz gąbki byłaby wtedy pod kołami twoja główka — żartuje z niego Helenka.

Janek jest bardzo zmartwiony, a jeden z posługaczy stacyjnych, wzruszony jego zmartwieniem, idzie do kuchni przy bufecie po szczypcę, wyciąga gąbkę z pod wagonu i podaje ją Jankowi przez okno. Gąbka jest wprawdzie trochę — a nawet bardzo — czarna: gdyby nią biedaczka przeciągnął sobie kto po twarzy, mógłby potem udawać murzyna. Ale to nie! można ją wymyć. Janek jest już uspokojony i wydobywa z kieszeni woreczek, i spojrzawszy pytająco na ojca, ofiarowuje 15 kop. uprzejmemu posługaczowi.

— Bardzo dziękuję — mówi człowiek, kłaniając się — Do usług panicza!

— Co to znaczy „do usług?” — pyta Janek po jego odejściu.

— To znaczy — objaśnia go Tadzio — że jak drugi raz upuścisz gąbkę pod wagony, wydobędzie ci ją znowu szczypcami...

Dzwonią po raz trzeci, rozlega się gwizdanie lokomotywy i pociąg rusza. — Minął już rogatki, jedzie coraz prędzej, gdy we drzwiach korytarzyka ukazuje się otyła kobiecina w sukni z samodziału, w białym czepku muślinowym, z koszykiem na ręku i wchodzi do przedziału.

— Niema miejsca, moja pani — mówi pan Korwin. — Jest nas tu ośm osób.

— Ee! proszę pana! Takie małe osoby! Jak się trochę ścisną to i zrobią miejsce człowiekowi...

— Ale jak pani widzi, tu jest druga klasa — tłumaczy pan Korwin.

— Wielkie rzeczy! Niby to nie jedno! Co to komu będzie szkodziło, że ja tu pojadę, kiedy tam tak ciasno?... ludzi pełno jak śledzi w beczce...

Zasiada nie uważając na nic i rozpoczyna rozmowę.

— Państwo pewnie do Częstochowy? I ja na odpust... Mam pełen kosz jedzenia z domu i chleb, i kiełbasa i wszystko...

Tadzio, który siedzi naprzeciwko niej, odzywa się nagle:

— A męża pani zostawiła samego w domu?

— To panicz zna mojego męża? Krasuskiego Pawła z Jawnut?

— O! znam i dobrze! Czy zdrow? — zapytuje Tadzio.

Dzieci spoglądają na siebie z uśmiechem, bo wiedzą, że Tadzio żartuje, ale rodzice nie śmieją się wcale. Kobiecina uszczęśliwiona opowiada, dlaczego jej mąż został w domu, gdy wchodzi konduktor i obejrzawszy bilety wy-



prasza ją z przedziału. Tadzio woła za nią na pożegnanie:

— A niech się pani kłania ode mnie mężowi, panu Pawłowi.  
(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Ul. Charlemagne dla Blondynki z n. Dochny.

Patrzcie na równej gładkiej podłodze,  
Jak on się kręci na jednej nodze  
I jak wiruje szybko i ładnie,  
Aż już znużony na bok upadnie;  
Wtedy to dziatwa, którą on bawi  
Wnet go na nowy taniec ustawi. —  
Patrzcie zaś znowu w lato gorące,  
Kiedy w południe dopieka słońce  
Jak na pastwisku, w polu, wśród drogi  
Przy bydle, koniach męczyciel srogi,  
Wciąż się uwija, w ciągłym jest ruchu,  
Srodze ukoło, siadają na uchu,  
A umęczone biedne stworzenia  
Próżno szukają przed nim schronienia.

### ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

Ul. Lilijka z Chmielnej dla Zosi L.

chło—cier—gło—kto—du—mie—na—du—pa—pi—trzy—  
we—wa—w zi—się—żni.

Z rozrzuconych tych sylab ułożyć dawne przysłowie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 17.

Szarady: Chata.

#### Łamigłówki w kwadracie:

S	a	m	u	e	l
B	a	l	t	y	k
B	o	h	d	a	n
O	r	k	a	d	y
K	o	t	a	r	a
T	u	r	c	y	a

### Skrzynka do listów.

Pani Maryi B. dziękujemy za słowa uznania, tem miłsze dla nas, że pochodzą od osoby, z którą łączą nas wspólne cele: kształcenie młodych serc i główek.

Listu pana Miłkowi. nie otrzymaliśmy.

Prenumeratorkę „Wieczorów,” zapytującą, co jest brystol, objaśniamy, że jest to gruby papier, utworzony ze sklejonych kilkunastu arkuszy w lepszym gatunku papieru, który, ściskany jeszcze pod walcem, nabiera po wierzchu pięknego połysku. Brystolu używają do rysunków, fotografii, biletów wizytowych, kart pocztowych i t. p. Kupuje go się arkuszami w składach materiałów pismiennych.

Dzielny jesteś Duchu Puszczy, skoro ucząc się gorliwie, znajdujesz jeszcze wolną chwilę na listowną z nami pogawędkę; nie wątpimy też o powodzeniu twojem w egzaminach i pomyślnej promocji do następnej klasy. Braki, jakie sam odczuwasz, potrafisz pracą własną uzupełnić. Kalendarz świąt ruchomych możesz napisać na całym arkuszu lub półarkuszu, byleby porządknie i na jednej stronie. Przesłać możesz w opasce, złożony dwójnie. Co do czcionek gumowych, jest to zabawka, która prędko się psuje i kłopot z niemi wielki.

Dobre rozwiązania łamigłówek i zadania własnego układu nadesłali: Guccio K., Irena F., Romcia z Podola, Biała Myszka, Sir Warburton, Achabati i Zosia T.

Dziwisz się sama sobie Anaido, że będąc od dawna prenumeratorką „Wieczorów” teraz dopiero zebrałaś się na odwagę zawiązania ze mną korespondencji, mam przeto nadzieję, że po zabraniu bliższej znajomości przekonasz się, jak łatwo ze mną stosunek, jak zawsze gotową jestem dobrą radą i nabytem doświadczeniem dzielić się z wami. Na początek zaraz godzę się w zdaniu z tobą, że szczęśliwszą od jedynaczki jest dziewczynka, mająca do ukochania braciszków i siostrzyczki, wśród których wzajemne przywiązanie i zgoda stanowią ogniwa najtrwalszych w życiu uczuć rodzinnych. Konkursy urządzone bywają wszędzie nie tylko dla młodzieży lecz i dla starszych, u nas do wszystkich należeć możesz, z wyjątkiem do konkursu kaligrafii, bo ten jest dla młodszych czytelników.

Jak widzisz, Sarenko Modrooka, najtrudniejszy bywa początek. Z ostatniego listu twego dowiaduję się z radością, że nauki idą ci łatwo i że niebawem powitam w tobie drugoklasistkę.

Małej mojej przyjaciółce Maryni życzę, aby jej się babki i placiki z piasku udawały, a zasadzone w ogródku: sałata, rzodkiewka, kartofle, fasola tak obrodziły, iżby mogła obdzielić niemi siostrzyczkę, braciszka, siebie, a nawet nakarmić wszystkie głodne ptaszki i dzieci we wsi.

Cieszę się Irenko, że tak wesoło spędziłaś święta z twojem młodszem rodzeństwem, któremu widocznie dajesz dobry przykład, skoro mała siostrzyczka, naśladowując cię, napisała do Jaskółki. Bądź dla nich zawsze wzorem postępowania a serduszką ich odpłacą ci za to gorącym przywiązaniem.

Dziękuję ci. Łochozwianko, za zajmujący opis minionych świąt i o tem, jak radziłyście sobie w czasie niebytności mamy, jak wesoło bawiłyście się w Śl. Miałam przyjemność poznać ks. M. R. i wdzięczną Mu jestem, że nie chciał zaspokoić zbyt ciekawości twojej. Co zyskałabyś na tem, zowiąc mnie Manią. Zosią, Karolką lub t. p. zamiast od lat tylu wierną wam Jaskółką? Czyżbyś nie miała sympatyj do tego ptaszka, zwiastuna wiosny? Świtezianka, Wieszcza i Rusalka kiedy niekiedy pisują do mnie bardzo miłe listy. Niezapominajka, o którą pyta Stefka, mieszka zdaje mi się w Kazaniu. „Quo Vadis” dla młodzieży kosztuje rub. 2 bez przesyłki pocztowej!

Zapewniam cię Romciu z Podola, że przerwa w korespondencji naszej nie z mojej pochodzi winy. Stosować się muszę do wydzielanego mi skąpo przez Redakcję miejsca i dlatego nie od razu na wszystkie listy odpisywać mogę; wcześniej czy później jednak żadnej odezwy nie zostawiam bez odpowiedzi. W arytmografii litery zastąpić musisz cyframi, pilnując obranego raz porządku, aby te same cyfry na te same przypadły litery. Pseudonym obrałaś ładny. Stare marki zagraniczne mogą być użyte na ten sam cel dobroczynny, co marki krajowe.

Nietylko nie mam ci za złe Wieśniaczko, że pomagając mamie w zajęciach domowych opóźniłaś się z przesłaniem mi życzeń świątecznych, ale przeciwnie, uważam za zupełnie właściwe, że te zajęcia stawiasz na pierwszym planie. Dom, to królestwo kobiety, rząd i ład w nim muszą być utrzymywane troskliwą i umiejętną ręką. Dołączoną do listu nowelkę odczytałam z zajęciem. Marzenia, aby prace twoje drukowane były w Wieczorach, ziścić się mogą z czasem. Radzę ci tylko, iżbyś nauczyła się uważnie patrzeć dokoła siebie i tematy twoje raczej czerpała z rzeczywistości, nie z fantazyi. Ten rodzaj baśni jak: *Rajska Lilijka*, jeśli na czytelniku ma czynić wrażenie, musi być pisany z bardzo wyrobionem już poczuciem piękna. Próbuje tedy w dalszym ciągu zdolności swoich.

Jaskółka.

#### WYMIANA ILUSTR. KART POCZTOWYCH.

Marya Czaplicka. (stacya Przedbórz gub. Piotrkowska w Stanowiskach) prosi o nadsyłanie ilustr. kart pocztowych, które wzamian przesyłać będzie.

Uwaga Redakcyi. Dla dogodności czytelników „Wieczorów,” zbierających piękne karty pocztowe, pomieszczamy bezpłatnie ogłoszenia prenumeratorów naszych o wzajemnej wymianie takich kart, za listownem zezwoleniem ich rodziców lub opiekunów.